

ROZMOWA Z PANIĄ ALICJĄ KARŁOWICZ PRZEPROWADZONA

23 LUTEGO 1989 R. W PSZCZELEJ WOLI



Nazywam się Alicja Karłowicz z domu Scelina. Z pochodzenia jestem Wołynianką. Urodziłam się 15 marca 1926 r. w Kowlu. Do 1932 r. mieszkaliśmy w Kowlu w osiedlu wojskowym Górka. Ojciec mój był legionistą. Służył w 50 Pułku, który należał do przedwojennej 27 Dywizji. W 1932 r. ojciec został przeniesiony do Sarn, które były niedużym miastem. W Sarnach rodzina nasza przebywała do 1939 r. W tym czasie ukończyłam szkołę powszechną w Sarnach. Z końcowego okresu pobytu w tym mieście pamiętam, jak 17 września sarnieński KOP szedł do boju - bił się dzielnie. W 1939 r., z chwilą, kiedy wkroczyli Sowieci, nasz znajomy kapelan, ksiądz który był na Sołówkach i do Polski wrócił dopiero w 1926 r., zebrał rodziny wojskowe i powiedział: "Kobiety, zabierajcie dzieci i uciekajcie z Sarn. Odnajdą was tutaj i nie zostawią w spokoju."

Już 6 grudnia 1939 r. wyjechalismy z Sarn do Kowla. Zamieszkaliśmy na zapadłych peryferiach miasta, gdzie mieliśmy rodzinę. Biedowaliśmy. Trzymiesięczna pensja skończyła się. Było nas troje: Mama, ja oraz szesnastoletni brat. Ojciec już nie żył. Trzeba było coś robić, aby za coś jeść. Brat został murarzem. Ja miałam wówczas czternaście lat i zostałam wychowawczynią w żłobku. Pracowaliśmy po dziesięć godzin dziennie.

Pracując w żłobku, po raz pierwszy zorientowałam się, co to jest socjalizm. W 1940 r. w ramach rocznicowych obchodów rewolucji, tak, jak to wszędzie bywało, zorganizowano zebranie, na którym byli obecni wszyscy pracownicy żłobka. Prelegent mówił o osiągnięciach, dokonanych przez Związek Radziecki, roztaczał przed nami wizję niezwykle szczęśliwego życia Sowieców. Mówił, że

u nich ludzie albo pracują, albo uczą się, nie ma ludzi nieszczęśliwych. Tak się złożyło, iż przypadkiem spojrział na mnie i dostrzegł, że ze mnie jeszcze bardzo nieletni pracownik. Zreflektował się błyskawicznie, dodając że czasami zdarza się i u nich, iż jakieś dziecko musi pracować. W takim przypadku dziecko pracuje tylko przez pół etatu, pobierając wynagrodzenie za cały etat. Obok mnie siedziała Sowietka, osiemnastoletnia pielęgniarka. "ilkumiesięczny pobyt w Polsce zauroczył ją naszym krajem. Dla niej to był zupełnie inny świat. Kiedyśprosiła mnie, abym poszła z nią do kościoła: "Zaprowadź mnie tam, niech zobaczę to z bliska". Jako czternastoletnia smarkula bardzo jej imponowałam. Po skończonym zebraniu powiedziałam do niej: "Mama, ty sobie nie wyobrażasz, ja będę pracowała tylko po pięć godzin, a nie po dziesięć!". Wtedy ona po cichutku zapytała mnie, czy chcę pracować. Odpowiedziałam: "Ja nie chcę, ale muszę pracować, bo coś trzeba jeść". Rosjanka poradziła mi więc: "Jak chcesz pracować, to siedź cicho i nie przyznawaj się, że masz czternaście lat". To była moja pierwsza lekcja socjalizmu.

Tak było do czerwca 1941 roku. Nadszedł najszcześniejszy w tym czasie dzień 22 czerwca. Jacyż my wszyscy byliśmy wtedy szczęśliwi! Ależ nie, wcale nie cieszyliśmy się, że przychodzą Niemcy. Szaleliśmy z radości, że uciekają Sowietci! Po wkroczeniu Niemców przyjechał do Kowla daleki kuzyn ze wsi. Był on księdzem proboszczem w parafii we wsi Zasmyki. Zabrał mnie i brata, aby trochę nas odkarmić. Tam zostaliśmy. Zasmyki były najpiękniejszą pod słońcem wsią. Panował tam nadzwyczajny polski patriotyzm, wieś była przodująca również pod względem moralnym. W Zasmykach prowadzone były kursy konspiracyjne. Tam zaczęłam przerabiać kurs gimnazjalny. Zrobiłam dwie klasy.

Zaczęły się rzezie, mordy ukraińskie. Trzeba było myśleć

o ratowaniu życia. W Zasmykach powstała 27 Dywizja Wołyńska. 27 Dywizja powstała początkowo jako luźne oddziały; koncentracja nastąpiła dopiero w 1944 r. Wszystko było bardzo sprawnie organizowane. Nie wierzę, iż Polacy nie umieją, nie potrafią.

Ponieważ byłam dziewczyną, nie było mi łatwo dostać się do dywizji. Tam najważniejsi byli chłopcy i broń. Jednak jakoś udało mi się. Już w 1943 roku, w grudniu zaproponowano młodemu dziewczętom kurs sanitarny w celu przygotowania sanitariuszek. W tym czasie dywizja zajęła Kupiczów pod Kowlem, niewielkie miasto czeskie, w którym znajdowała się piękna twierdza, dobrze zorganizowane kwatermistrzostwo i służba zdrowia. Tam ukończyłam kurs sanitarny. Po ukończeniu kursu zostałam zatrudniona w punkcie sanitarnym. Dopiero później, podczas akcji "Burza", udało mi się dostać do oddziału. Brałam udział w wielu walkach. Szpital, w którym byłam sanitariuszką, i w którym leżał mój ranny mąż, został okrążony przez Niemców. Dywizja, która była w Saku, musiała przebijać się. Po ciężkich walkach, po okrążeniach, dywizja nasza dostała z Komendy Głównej AK w Warszawie zezwolenie na przebijanie się na Lubelszczyznę. W czerwcu 1944 r. przeszliśmy Bug na wysokości Włodawy i rozkwaterowaliśmy się na Lubelszczyźnie. Naturalnie wkrótce Niemcy nas wykryli: były następne okrążenia i następne kotły. Trochę walczyliśmy, trochę przebijaliśmy się - trwało to aż do 25 lipca. Tego tragicznego dnia władze sowieckie kazały nam złożyć broń. Skoncentrowano nas rzekomo na przegląd pod Skrobowem koło Lubartowa. Po zapadnięciu zmroku, kiedy było już ciemno, rozkazano nam złożyć broń. Po tylu latach 25 lipiec wspominam jako nadal najcięższy dzień w naszym życiu. Dowódcy pożegnali się z nami. Nadzili, co mamy robić; przede wszystkim kazali nam uczyć się.

Każdy na własną rękę przebijają się gdzie mógł, przeważnie

do Lublina. Ci, których nie złapali i nie wywieźli, urządzali się we własnym zakresie - podejmowali jakąś pracę, zaczęli myśleć o szkole. W tym czasie wróciłam na Wołyń, chcąc zobaczyć, co dzieje się w moim rodzinnym domu. Niestety domu już nie było, a na mój trop wpadło NKWD. Zaczęli mnie przyciskać, musiałam więc ukrywać się. Dalsze moje przebywanie na Wołyniu nie miało sensu. W październiku przyszła łączniczka od strony Lublina. Miała ze sobą jakieś przepustki, oczywiście fałszywe. Dzięki przepustce, którą dostałam od łączniczki, wydostałam się z Wołynia i powróciłam znowu na Lubelszczyznę.

Po zakończeniu działań wojennych w końcu udało mi się dotrzeć do szkoły. Po zrobieniu matury zamierzałam studiować medycynę. Plany te uniemożliwiła moja sytuacja ekonomiczna. Nie mieliśmy zupełnie niczego, wszystko przepadło, nie było z czego żyć. W tej sytuacji nie miałam najmniejszej szansy, aby studiować medycynę, której nie można było pogodzić z jednoczesną pracą. Podjęłam więc pracę jako sekretarka w ZEOL-u i jednocześnie studiowałam historię na KUL-u. Do najpiękniejszych wspomnień z okresu studiów na KUL-u należy "Juventus Christiana", prowadzona przez ojca Mielewicza, wspaniałego człowieka. Nie trwało to jednak długo, ponieważ już w 1948 r. zaczęły się aresztowania. Nasi koledzy i koleżanki z "Juventus Christiana" zostali aresztowani.

Wreszcie przyszedł dzień Bożego Ciała 1949 r. 16 czerwca procesja była wyjątkowa. Tłumy były tak ogromne, iż sięgały aż na róg ówczesnej ulicy Zamojskiej, wypełniały cały Plac Katedralny, całą ulicę Królewską, po Lubartowską i po kościół Świętego Ducha na Krakowskim Przedmieściu. Tłum był tak zbity, głowa przy głowie, iż nie można było ruszyć się. W uroczystościach Bożego Ciała brała udział kolumna akademicka. Naturalnie, wszyscy byli

w czapkach. Kolumna studencka stanowiła jeden rząd i stała na chodniku. Chłopcy znajdowali się mniej więcej na wysokości ulicy Koźziej, dziewczęta były w drugim skrzydle. Kiedy procesja znalazła się naprzeciw Bramy Krakowskiej przy Magistracie, w kolumnę akademicką wjechał samochód. Samochód jechał od ulicy Lubartowskiej. Kiedy wjechał w ówczesną ulicę Nową, słychać było krzyki i poruszenie. Tłum wiernych nie chciał go przepuścić. Samochód posuwał się wolno, po pół metra, nieustannie trąbiąc. W końcu samochód przebił się na środek Placu Łokietka. Z Placu samochodu już dalej nie puszczono. Pamiętam, jak biskup Goliński, trzymając przy ołtarzu monstrancję, prosił i przestrzegał: "Ludzie, nie dajcie się! Nie dajcie się sprowokować, bo to jest prowokacja".

Na środku Placu Łokietka, na wysokości miejsca, gdzie zaczynają się schody Magistratu, samochód potrafił w nogę jakąś kobietę. Możliwe, że była to studentka. Kobieta, pomimo tłumu, zachwiała się. Tłum wywrócił samochód. Główny udział w tym zajściu brali nie studenci, lecz robotnicy. Widziałam to z daleka. Przy Magistracie znajdowało się dość dużo robotników. Trudno mi powiedzieć, dlaczego. Możliwe, iż był to jakiś rodzaj honorowej warty. W każdym razie, widziałam, jak samochód wywracają robotnicy. Znajdujących się w samochodzie robotnicy trochę poturbowali. Z daleka widziałam, jak z samochodu wyskoczył milicjant z bronią i pies. Innych osób nie widziałam. Mąż mój, który stał na chodniku nieco wyżej od innych, widział całe to zajście dosyć dokładnie. Zauważył, jak z samochodu wyskoczył mężczyzna, który krzyczał i groził. Podniósł rękę i wymachiwał ściśniętą pięścią. Mąż widział, jak czyjaś ręka, trzymająca cegłę, rzuciła ją w szczękę mężczyzny. Później dowiedzieliśmy się, iż był to Pilipczuk - szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa

na ulicy Cichej. Osobiście zajścia z Filipczukiem oraz samego Filipczuka nie widziałam.

Urobił się ruch. Ludzie stojący z boków zaczęli opuszczać plac. Ogarnął mnie strach, obawiałam się, iż będą strzelać do ludzi. Zaczęłam wycofywać się. Trafiałam na męża, który stał w męskiej kolumnie. Postanowiliśmy wracać do domu, byłam zupełnie roztrzęsiona tym zajściem. Szliśmy w kierunku mieszkania na ulicy Radziwiłłowskiej. Zdążyliśmy dojść do kościoła Świętego Ducha na Krakowskim Przedmieściu, kiedy od strony ulicy Świętoduskiej w kierunku tłumu kroczyła rzędem milicja. Później przyszedł do nas kolega męża, Jurek, który pozostał do końca procesji. Mówił, że ze wszystkich stron cały ten olbrzymi tłum ludzi otoczony był milicją. Z okien, z góry, trzaskały aparaty fotograficzne, robiące zdjęcia tego wszystkiego, co działo się na dole. Była to więc najbardziej typowa, klasyczna prowokacja. Wszystko było przygotowane, obsadzone i obmyślane, scenariusz od początku do końca idealnie opracowany i realizowany.

Po przyjeździe do domu, gdy już trochę ochłonęłam, napisałam dwa listy do znajomych. W listach tych opisałam wydarzenia z procesji. Oczywiście, zgodnie z dobrym zwyczajem, podałam adres zwrotny. Napisane przeze mnie listy stanowiły dowód mojego przestępstwa. Listy zostały przechwycone przez UB, otwarte i przeczytane.

Po kilku dniach, nocą do naszego mieszkania wtargnęło UB. Przyjechali po mnie chyba willysem. W tym okresie wiele było takich samochodów bez jakichkolwiek przykryć i bud. Mam wrażenie, nie jestem pewna, iż było ich trzech: kierowca, milicjant z karabinem, pies oraz pan Filipczuk. Tego milicjanta widziałam

podczas zamieszek na placu. Pan Filipczuk później mnie oskarżał, był moim głównym oskarżycielem.

Zabrano mnie na Krótką. Na krótkiej przez kilka godzin - - prawdopodobnie dla "zmiękczenia" - trzymano mnie w takiej ciemnej komóreczce. Było zupełnie ciemno. Sądzę, iż obok znajdowała się łazienka, ponieważ od czasu do czasu leciała tam woda. Z łazienki dochodziły do mnie przeraźliwe jęki. "oźliwe, że chciano mnie w ten sposób nastraszyć. Jednak najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, iż leżał tam ktoś bardzo silnie pobity.

Nad ranem zabrano mnie na przesłuchanie. Nie wiedziałam jeszcze, z jakiego powodu zostałam aresztowana. Najbardziej bałam się, że chodzi o moją przynależność do 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Wiedząc, jaki los spotkał moich kolegów, szeregowych żołnierzy, nie mówiąc o oficerach, szłam na przesłuchanie pełna największych obaw. Zapytana, czy byłam na procesji Bożego Ciała, odetchnęłam z ulgą. Zapytałam, czy wolno było brać udział w procesji. Usłyszałam odpowiedź: "wolno". Wobec takiego rozwoju sytuacji, nie powinnam mieć jakichś szczególnych lęków. Jednak wyczuwałam, iż moje położenie nie przedstawia się wesoło.

Chcąc zabezpieczyć się na wszelki wypadek, zaraz na początku przesłuchania powiedziałam: "Proszę dać mi pić!". Wówczas śledczy skonstatowali to z nie ukrywaną satysfakcją: "A co, boi się pani!". Zupełnie nieoczekiwanie odparłam: "Nie. Ja jestem w ciąży". Po ich nieco zastopowało. Przed tym mętlikiem pytań, gdy byłam bardzo zmęczona i zdezorientowana, nie wiedząc, co odpowiadać, miałam swoją broń. Arzyczałam, że jest mi niedobrze. Wtedy śledczy wyskakiwali z pokoju, zostawiając mnie samą. Chwilę stałam nad umywalką, zbierając siły i myśli. Po chwili

przesłuchanie znowu kontynuowano.

Przez około trzy tygodnie przesiedziałam samotnie w pokoju na górze. W pokoju tym nikogo i niczego poza mną i biurkiem nie było. Pewnego dnia wszedł jakiś pan w randze porucznika lub podporucznika. Nazwiska jego nie znam - oficerowie nie ujawniali swoich nazwisk nawet w protokołach. Chwilę spacerował po pokoju, aż wreszcie zapytał: "Ma pani pieniądze?". Tym pytaniem byłam zupełnie zaszokowana. Kompletnie nie rozumiałam, o co mu chodzi; dotychczas nigdy nie spotykałam się z tym, iż są takie sprawy, które można załatwić za pieniądze. Gdy oficer usłyszał moją odpowiedź, iż pieniędzy nie mam przy sobie, chwilę pospacerował. Wkrótce ponowił pytanie: "No to ma pani pieniądze?". Odparłam to samo, całkowicie nie wiedząc, jak mam się zachować. Oficer wyszedł z pokoju i na tym zakończyło się to zdarzenie. Sądzę, iż była to jakaś próba wypuszczenia mnie stamtąd za łapówkę. Wydaje mi się to tym bardziej prawdopodobne, gdyż mój dokładnie w tym okresie czynił pewne starania, zmierzające do uwolnienia mnie.

3 lipca na krótkiej w Lublinie zrobiło się bardzo tłoczno od więźniów. Na korytarzach nie było przejścia, ludzie leżeli nawet na schodach. Wówczas zabrano mnie z pokoju na górze do piwnicy. Trafiałam do piwnicy, w której już było kilka osób. Było nas chyba pięć lub sześć. Kobiety były różne, nie z mojej sprawy. Dzięki temu, że było nas mało, można było jeszcze dać sobie radę.

Jednak w piwnicach męskich, gdzie przebywało znacznie więcej więźniów, było tragicznie. Chodząc do ubikacji, ukradkiem zerkałam na sąsiednią piwnicę. Widziałam tam swoich kolegów z "Juventus Christiana". Warunki w ich piwnicy były okropne,

przerażające. Więźniowie mieli prawo tylko siedzieć i trzymać ręce na kolanach. Nie było miejsca nawet na tyle, aby podnieść rękę do góry. Panowała niesamowita temperatura: był to nie tyle upał, ile zaduch. Było tak przeraźliwie duszno, iż sam zaduch wykańczał ludzi. Ci chłopcy przebywali w nieprawdopodobnie strasznych warunkach.

Będąc jeszcze na Krótkiej, otrzymałam paczkę. Była to paczka nieżywnościowa. Nie miałam tam kompletnie nic - ani ręcznika, ani grzebienia, ani chusteczki. Te rzeczy udało się po pewnych trudnościach podać mężowi. Dzięki temu, że mąż spotkał na Krótkiej jednego z pracowników, który był obecny przy moim aresztowaniu, przekonał go, iż jestem pozbawiona nawet najbardziej niezbędnych rzeczy. Po usilnych prośbach, mąż mógł następnego dnia podać paczkę.

Ponieważ ciągle zwozili ludzi za katedrę, piwnice wypełnione były więźniami po brzegi. Na Krótkiej robiło się coraz ciasniej. Po miesiącu wywieźli nas na Zamek.

Pierwsze moje zetknięcie z Zamkiem było tragiczne. Wprowadzono mnie na oddział, otwarto drzwi celi, zwanej - o ile dobrze pamiętam - "przejsciówką". W celi ujrzałam iście dantejską scenę. Na maleńkiej powierzchni tej celi stały piętrowe łóżka, reszta kobiet leżała na podłodze. Kobiety były strasznie rozczochrane, brudne i niesamowicie cuchnące. W celi unosił się potworny smród, fetor. Stanęłam, nie wiedząc, co mam ze sobą zrobić. Z łóżek zaczęły zeskakiwać i podbiegać do mnie kobiety. Były takie brudne, takie okropne i straszne! Pytały się mnie, kim jestem i skąd przyszedłam. Trwało to może z piętnaście minut. Moje wrażenia jednak były na tyle straszne i przerażające, że chyba nigdy nie zapomnę widoku tych kobiet.

Po chwili otworzyły się drzwi i zostałam wywołana przez komendanta: "Ta nowa, co przyszła, wychodzić!". Wyszłam więc z celi. Okazało się, iż ja, jako polityczna, mogłam te kryminalistki zdeprawować, zarazić jakimś bakcylem. Komendant przeprowadził mnie do celi dla politycznych. Na korytarzu przy zejściu do cel politycznych był nierówny poziom, znajdowały się tam trzy schodki. Gdy stanęłam na pierwszym schodku, komendant dopadł do mnie i, obrzuciwszy mnie odpowiednimi epitetami, zapytał: "A ciebie za co tu przywieźli?". Odpowiedziałam: "Za Boże Ciało". W tym momencie po raz pierwszy w życiu zostałam pobita. Poczulałam serię straszliwych kopnięć. Zachwiałam się. Oparłam się o ścianę i dzięki temu nie upadłam. Odczułam to nie tyle fizycznie, ile psychicznie.

Kiedy oddziałowa otworzyła mi drzwi i weszłam do celi, musiałam wyglądać bardzo źle. Doskoczyły do mnie wszystkie kobiety, pytając, co mi się stało, dlaczego jestem tak przeraźliwie blada. Długo nie mogłam wydusić z siebie słowa. Wreszcie opowiedziałam im, co mi się stało. Kobiety natychmiast wszystko zrozumiały: "No tak. Wiadomo, że to był komendant". Komendant nazywał się prawdopodobnie Huk. Możliwe, iż jego nazwisko myłę z komendantem więzienia w Grudziądzu, który dorównywał swoim okrucieństwem komendantowi z Zamku. Ponieważ zarówno komendanta na Zamku, jak i tego w Grudziądzu, wyrzucono, możliwe iż myłę ich nazwiska.

W mojej nowej celi było już zupełnie inaczej. To były całkiem inne więźniarki. Wszystkie kobiety były uczesane, domyte, po prostu inne. Do więźniów politycznych stosowano określenie "sąd wojskowy". Na ogół było to środowisko znacznie przewyższające poziomem intelektualnym i kulturalnym więźniów

kryminalnych.

Kobiety zajęły się mną i pomogły mi dojsć do siebie. Trzeba było jakoś dalej żyć. Spłynęło na mnie pewne olśnienie, które kazało mi pójść do lekarza. Lekarz, doktor Hans, był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Nie wiem, czy lekarz był w UB, czy też tylko dla UB pracował. Zwróciłam się do niego: "Panie doktorze, zaczynają się śledztwa, a ja jestem w ciąży". Lekarz zapytał, czy na pewno jestem w ciąży. Zdecydował zabrać mnie do szpitala: "Jak wezmę panią do szpitala, nie będą już mieli do pani prawa, nie będą brać na przesłuchania. A jeżeli wezmą na przesłuchanie, będą musieli odesłać panią z powrotem do szpitala. Dzięki temu będą trochę inaczej obchodzić się z panią".

Lekarz zabrał mnie do szpitala. Istotnie to uchroniło mnie od przesłuchań. Na przesłuchanie wzięto mnie tylko jeden raz. Nie wiem, czy podczas tego przesłuchania śledczy był w ogólnie złym humorze, czy też był zły na mnie, że nie może zastosować względem mnie typowych metod śledztwa. Wypał mi straszliwą więzanką. Fakt, iż zachowywałam spokój, doprowadził go niemalże do furii: "Cóż to? Nic nie reagujecie na to, co mówię!" Odpowiedziałam mu: "Kiedy ja nic nie rozumiem, co pan mówi". Było to zgodne z prawdą, ponieważ dosłownie nic nie rozumiałam z tego, co mówił śledczy. Po prostu nie znałam tego języka. Wówczas śledczy wpadł w szok: "Won mi na korytarz!".

Gdy wyszłam na korytarz, zobaczyłam jak prowadzą księdza Forkiewicza i księdza Malca. Był to proboszcz i wikary z katedry. Ksiądz Forkiewicz wyglądał nieźle. Ksiądz Malec natomiast był strasznie pobity. Całą jego twarz pokrywały strupy i zabliźnione rany. Ksiądz Forkiewicz, pomimo iż wyglądał lepiej, raczej nie zareagował na mój widok. Natomiast ksiądz Malec,

biedny, skrzywiony i cierpiący, serdecznie uśmiechnął się do mnie i mrugnął oczami. "a nic innego nie było nas przecież w tej sytuacji stać.

W szpitalu zetknęłam się z aresztowaną zakonnicej. Ponieważ nie znałam jej przedtem, nie pamiętam już, jak się nazywała. Była to kobieta po czterdziestce, może nawet jeszcze trochę starsza. Na skutek śledztwa, stała się ona całkowicie niezrównoważona, psychicznie zakłamana, zupełnie już nie do życia.

W szpitalu dali mi spokój. Szpital kobiecy miał trzy cele. Porozumiewaliśmy się między sobą w sąsiednich celach za pomocą stukania. Do środkowej celi przyprowadzono kiedyś kobietę, która dostukała się do nas: "Powiem wam od razu, kim jestem. Jestem prostytutką. Kiedy zaczęli zamykać masowo ludzi za katedrę, zebraliśmy się całą kupą ludzi pod komendą na Zielonej. Krzyczeliśmy - »wypuście ludzi! Przestańcie mordować ludzi!«. Ja również krzyczałam, przecież też jestem Polką. Krzyczeli wszyscy. Tylko jeden mężczyzna, stojący za mną, milczał. Odwróciłam się do niego, pytając dlaczego nie krzyczy. To był tajniak. Odchylił klapę marynarki, a następnie zabrał mnie ze sobą za obrazę władzy. Przez takiego muszę siedzieć. Ale nic mi nie zrobią, bo jestem w ciąży. Przecież ja, prostytutka, nie mogę dostać wyroku za katedrę. To nawet nie wypada!". Jej sprawa odbyła się w listopadzie 1949 r. Przed sprawą, pełna dobrych myśli, wzięła od nas adresy, obiecując pozakawatwić nasze sprawy. Po sprawie prostytutka wróciła wieczorem do swojej celi i zastukała do nas: "Słuchajcie: dostałam trzy lata! W ciąży to ja nie jestem. A co, miałam siedzieć tam na dole i dusić się? Przecież tam nie ma nawet co jeść." Następnego dnia rano prostytutka poszła do doktora

Hansa. Przyznała się, iż nie jest w ciąży. Lekarz nie wyciągnął żadnych konsekwencji z jej oszustwa. Kazał wypisać prostytutkę na oddział.

Finał sprawy prostytutki nastąpił w późniejszym okresie, już po moim porodzie. W szpitalu do mojej celi przyszła Czeszka. Była to wysoka, przystojna pani. Okazało się, iż miała przyjaciela-UB-eka w Bydgoszczy. Jej przyjaciel popełnił jakieś nadużycie. Czeszka wiedziała o tym, nie powiedziała i w ten sposób trafiła do śledztwa. Pewnego dnia Czeszka wyszła na spacer, a wspomniana prostytutka, która przebywała już na oddziale, wносиła w tym czasie jakieś kotły. Bardzo przestrzegano, aby więźniowie nie widywali się ze sobą. Spotkanie prostytutki z Czeszką było więc zupełnie przypadkowe. prostytutka ujrawszy Czeszkę, zaczęła straszliwie krzyczeć, tak, iż wszyscy znieruchomieli: "Dawajcie mi natychmiast śledczego, bo to jest kapo z Majdanka! Przecież ona wybiła mi oko."

Ostateczne rozstrzygnięcie tej sprawy nastąpiło już podczas mego pobytu w Grudziądzu. Następny transport, który przyjechał do Grudziądza z Zamku, potwierdził, iż była to rzeczywiście kapo z Majdanka. Kapo otrzymała wyrok kary śmierci, zaś prostytutkę w końcu zwolnili - już nie siedziała za katedrą.

Po ośmiu miesiącach więzienia urodziłam syna. Przewieziono mnie do szpitala na ulicy Spokojnej. Szpital mieścił się vis-à-vis Urzędu Wojewódzkiego przy ulicy 22-go Lipca, po prawej stronie budynku, nieco bliżej Ewangelickiej. Po przywiezieniu do szpitala, znalazłam się w warunkach zdecydowanie nieciekawych. Położna, która mnie przyjmowała, w ogóle nie chciała zajmować się mną. Podczas porodu nie miałam pomocy. Na skutek tego syn urodził się prawie nieżywy, nie oddychał. Dopiero gdy przyjechał

doktor Witkowski, zajął się nami. Dzięki niemu syn odzyskał przytomność. Syn urodził się 24 lutego 1950 r.

Od pewnego czasu do szpitala na Spokojnej nie przywożono już więźniów z Zamku. Byłam więc w tym czasie odosobnionym przypadkiem. Prawdopodobnie stąd wynikała niechęć personelu do mojej osoby. Położna, powróciwszy do domu, opowiedziała o tym zdarzeniu swojemu mężowi: "Wiesz, dzisiaj znowu mieliśmy złodziejkę. Znow przywiezli więźniarkę z Zamku.". Jej mąż, wiedziony jakąś intuicją, zapytał o nazwisko więźniarki. Gdy usłyszał moje nazwisko, zganił żonę: "Człowieku, coś ty zrobiła! Przecież to jest sekretarka naszego dyrektora w ZEOL-u. To studentka. Coś ty zrobiła!". Ten pan był księgowym w ZEOL-u. Przed aresztowaniem pracowaliśmy razem, stąd mnie znał. Gdy położna dowiedziała się o tym, natychmiast udała się do nas do domu, aby powiedzieć, że urodziłam syna.

Od tej chwili wszystko uległo zmianie. Personel lekarski, a nawet salowe, wszyscy chodzili wokół mnie dosłownie na palcach. Mama i mąż, wiedząc iż przebywam na Spokojnej, przychodzili do mnie. Milicjant, który mnie pilnował, zawsze rewidował tych, którzy mnie odwiedzali, kontrolował to, co mi przynosili.

Lekarze, pielęgniarki i salowe byli bardzo przyzwoitymi ludźmi. Tylko niektórzy funkcjonariusze UB, którzy leżeli tam chorzy, posuwali się tak dalece, że nakazywali salowej: "Zabierzcie ten nóż! Przecież to więźniarka. Ona nie może mieć noża na stoliku". Leżałam tam chyba przez pięć tygodni. Lekarz robił co w jego mocy, aby jak najdłużej zatrzymać mnie w szpitalu. Rozumiał przecież co mnie czeka po powrocie na Zamek.

Przez półtora roku dziecko było razem ze mną na Zamku.

Pomimo iż na Zamku była cela matek, przebywałam dłuższy czas w szpitalu. W celi matek przebywały złodziejki, była nawet prostytutka z dzieckiem. Dlatego lekarz uważał, że lepiej będzie dla mnie, gdy nie trafię do celi matek. Wiele osób było mi życzliwych, wszyscy chcieli mi pomóc. Sądzę, iż spory udział w tym miała pewna pielęgniarka. Okazało się, iż pielęgniarka pochodziła z Wołynia i była znajomą mojej ciotki.

Od aresztowania w czerwcu 1949 r. do sprawy upłynęło piętnaście miesięcy. Sprawa odbyła się we wrześniu 1950 r. Moim głównym oskarżycielem był Filipczuk. Niedawno wyczytałam przypadkiem w gazetach, iż Filipczuk zmarł. Tak więc jednak przeżyłam go mimo wszystko. Podczas konfrontacji, która odbyła się tuż przed zakończeniem śledztwa lub bezpośrednio po jego zakończeniu, zwróciłam się do Filipczuka: "Dlaczego pan mnie oskarża? Proszę pana, przecież pan nigdy nie widział mnie na oczu, podobnie jak i ja pana nie widziałam". Było to zgodne z prawdą. Wówczas na placu widziałam tylko milicjanta z psem. Jego oraz kierowcy nie widziałam. Owszem, coś tam mi migало, lecz osób nie widziałam, wszystko zasłaniał mi tłum. Odpowiedź Filipczuka zaskoczyła mnie zupełnie: "Proszę pani, chleb daje rogi, a bieda daje nogi". Oznaczało to, iż Filipczuk zrobił to "dla chleba" - oskarżył mnie, aby utrzymać się na stanowisku szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa.

O tym incydencie z Filipczukiem opowiedziałam swojemu obrońcy. Adwokat polecił mi powiedzieć o tym na sprawie, obiecując zapytać o to Filipczuka. Osobę Filipczuka określiłabym jako lekkiego prymitywa. Używał dość specyficznych określeń. Oskarżał mnie w tak prymitywny sposób, iż w pewnym momencie wzbudziło to wybuch śmiechu na sali. Opisывał moją spódnicę,

w której rzekomo byłam podczas procesji. Takiej spódnicy nigdy w życiu nie miałam. Jeżeli ktokolwiek zadałby sobie trud sprawdzenia tej spódnicy, okazałoby się niezbitcie, iż Filipczuk mówi kłamstwa. Na sprawie adwokat zapytał go: "Czy pan zna tę kobietę? Po czym mógłby ją pan rozpoznać?". Filipczuk odpowiedział: "Po owłosieniu". Jego odpowiedź spotkała się z wybuchem śmiechu na sali.

Jeszcze przed sprawą mąż prosił o widzenie ze mną i z dzieckiem. Prokurator odpowiedział: "Po sprawie damy panu widzenie". Nasuwa się stąd wniosek, iż sprawa była z góry przesądzona, a wyrok już przygotowany. Jeszcze wcześniej mąż prosił prokuratora o widzenie ze mną, tłumacząc że przecież jestem w ciąży. Prokurator odpowiedział: "Mnie to nie obchodzi. W ciąży, czy nie w ciąży, jest zbrodniarką i koniec!". Kiedy mąż powiedział, iż tego jeszcze nie udowodnił, prokurator powtórzył swoją opinię, wyrzucając męża za drzwi. Więcej prokurator nie przyjął męża.

Na sprawę przywieźli mnie na ulicę Okopową. Zamknęli mnie w jakiejś klatce. Pilnowała mnie taka "żołnierzyna-głupina". Żołnierz od czasu do czasu coś na mnie pokrzykiwał. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i wszedł prokurator. Prokurator przywitał się ze mną, całując mnie po rękach. Powiedział: "Pani chyba rozumie, że ja nic nie mogę pani pomóc. Przyszedłem tylko przywitać się i życzyć pani dużo dobrego". Byłam zaskoczona, iż miał tyle odwagi, aby przyjść przywitać się ze mną i to powiedzieć. Tym bardziej, że był to przecież 1950 rok! Żołnierz oszupiał ze zdziwienia, słysząc słowa prokuratora. Nie wiedział, jak się zachować. Prokuratorem był mój nauczyciel języka niemieckiego z Liceum Doktora Szczęcha. Nazywał się pan

Pinkosz. Po powrocie z niewoli przez jakiś jeszcze czas uczył. Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło, iż po kilku latach został prokuratorem. Zdaje się, iż Pinkosz ukończył studia prawnicze. W tym czasie był w randze chyba kapitana.

Moim obrońcą był Kubusiewicz. To był adwokat prywatny, który w tym czasie jeszcze podejmował się obrony podobnych spraw. Sędzią w mojej sprawie był chyba Smoczek.

Z mojej sprawy siedziała ze mną Aldona Czerniewska, studentka medycyny i Hania Rogowska, sekretarka "Bratniej Pomocy". Obydwu dziewczynom udało się wyjść. Hania Rogowska była ciężko chora na serce. Jej ojciec szybko dotarł do właściwych ludzi i za pieniądze ze sprawy wyszła. Ojciec Hani był bardzo sprytny. Powiedział się, że obie z Hanią jesteśmy w szpitalu. Okna szpitalne wychodziły na kościół Świętego Mikołaja na Czwartku. Ojciec Hani Rogowskiej skontaktował się z moim mężem. Zarówno rodzina Hani, jak i mój mąż, przychodzili pod szpital. Były to widzenia tylko na odległość, podczas których mieliśmy jednak przynajmniej możliwość pomachać do siebie ręką.

Również w podawaniu paczek mąż napotykał na trudności. Na Zamku ze dwa czy trzy razy nie chciano w ogóle przyjąć od niego paczki: "Jest ukarana. W tym miesiącu paczki podać nie można". Później okazało się, iż te przestępstwa, za które mnie karano, polegały na powieszeniu pieluszek nie w tym miejscu lub powiedzeniu jakiegoś niewłaściwego słowa. W ciągu półtora roku mężowi udało się podać zaledwie kilka paczek. Były to paczki bardzo liche, zawierały podstawowe artykuły żywnościowe - kilka cebul, troszeczkę cukru. Wszystko to, co wolno było podać, było określone bardzo ściśle.

Nie orientuję się dobrze, kto z chłopców był na Zamku.

Wiem, iż części chłopców z "Juventus Christiana" niczego nie udowodniono. Zostali ze sprawy zwolnieni. Jednak nie pozwolono im na ukończenie studiów w Lublinie. Poszli gdzie kto mógł, przeważnie w Łodzi. Jeden dostał sześć lat. Siedział za historię podobną do mojej. Napisał list, który przejęło UB. Zmarł w Urzędzu na białaczkę, niestety nie doczekał wolności.

Spośród przywożonych na Zamek więźniów za katedrę, jeden przypadek był szczególnie drastyczny. Młoda dziewczyna dostała tak straszliwego szoku, iż przez trzy dni krzyczała nieludzkim głosem. Nie wiem, skąd brała się w niej ta siła, aby tak długo i przeraźliwie krzyżeć. Sądzę, że to już była chyba nie tyle psychiczna, ile umysłowa historia.

Na Zamku było wiele cel żeńskich, lecz tylko dwie cele sądu wojskowego. Przeważnie siedziały tam kobiety pochodzące ze wsi. Podobno jedna dziewczyna była z UPA, jakkolwiek do końca nie jestem tego pewna. Nigdy nie nawiązywałam z nią bliższego kontaktu. Była ona bardzo pobita, potłuczona, miała odbite nerki. Po wyjściu z więzienia ktoś mi mówił, że dziewczyna była rzeczywiście z UPA. Poza nią jedną, trudno mi powiedzieć, czy był ktoś jeszcze inny z UPA.

Przeważnie wszystkie więźniarki polityczne siedziały za Żelaznego, za Zaporę lub po prostu za to, że "wiedział i nie powiedział". Aby zostać więźniem politycznym, wcale nie trzeba było wiele. Wystarczyło, że ktoś z lasu zapytał o drogę, aby od razu otrzymać trzyletni wyrok.

Na Zamku zetknęłam się ze sprawą rodziny Korzeniewskich. Korzeniewscy pochodzili z Wytyczna koło Włodawy. Aresztowano matkę, kobietę sześćdziesięcioletnią oraz jej dwie córki. Dziewczyny były w wieku powyżej dwudziestu lat. Syn pani

Horzeniewskiej walczył chyba nawet pod Monte Cassino. Po powrocie do Polski zainteresowało się jego osobą UB - "a dlaczego tak zwlekał z powrotem? a po co tam był?". Taką drogę przeważnie przechodziła większość powracających. W kołcu chłopak miał tego tak serdecznie dosyć, że poszedł do lasu. Przez jakiś jeszcze czas chłopak działał. Wtedy na jego rodzinę spadły represje. Pani Horzeniewska, matka tego chłopca, o rewizjach przeprowadzanych w ich domu opowiadała mi bardzo spokojnie, bez nienawiści: "Pani kochana, nie mieliśmy ani jednego pieca, ani jednej deski w podłodze, nawet dachu nie było. Cyn nie był przecież na tyle naiwny, aby obciążać dom, niczego więc nie mogli znaleźć. Właściwie oni nawet nie szukali, lecz w ten sposób mścili się. Auli nawet ściany. Co zdążyliśmy zrobić trochę porządku, przychodzili znowu i na nowo wszystko rujnowali".

Niedługo za pierwszym razem aresztowali Horzeniewskie, trzymali je krótko. Niedługo wyszła amnestia i wszystkie trzy wypuścili do domu. Wkrótce aresztowali je po raz drugi. Również i tym razem matki nie trzymali długo. Wypuścili ją do domu chyba po kilku miesiącach. Natomiast obie siostry dostały wyroki. Siedziałam z jedną. Nie przypominam sobie, co stało się z drugą dziewczyną. Możliwe, że ją wypuścili lub wywiezli do innego więzienia. Tę dziewczynę, z którą siedziałam, pewnej nocy zbudzili. Wiadomo było, po co wołają w nocy. Wychodziła pełna lęku, co z nią będzie. Wprowadzili ją do bramy, odchyłili jakąś plandekę czy koc i kazali zidentyfikować zwłoki. To był jej nieżywy brat. Zupełnie nie przypominam sobie, kiedy nastąpiła jego śmierć. W każdym razie było to przed 1949 rokiem,

mogło to być w 1948 lub na początku 1949 r. W 1949 r., dziecko tego pana Korzeniewskiego miało dopiero kilka miesięcy. Nie zdążył wziąć ślubu. Jego narzeczoną również aresztowali. Urodziła na Zamku. Gdy przyszedłam na Zamek, dziecko było malutkie, nosiła je na rękach.

Na Zamku siedziało dużo harcerzy. Harcerze pracowali. Dawano im złe prace. Trzeba przyznać, iż istniała jakaś organizacja na Zamku - nikt jej nie widział, nikt o niej nie słyszał, lecz starano się jakoś pomóc tym ludziom. Tylko z jedną harcerką zżyłam się bliżej. Była nią Danusia Górnska z Biłgoraja. Miała wtedy osiemnaście lat, byłyśmy w jednej celi. Danusia była bardzo mądra, inteligentna i wrażliwa. Było mi bardzo żal tego dziecka.

Kiedy mąż zabrał dziecko do domu, pracowałam w pralni. Do pralni chodziłyśmy razem z Danusią. Najgorsze było środowisko takie nijakie - ni to inteligencja, ni to robotnik, ni to chłop. To byli ludzie niesamowicie amoralni, pozbawieni jakiegokolwiek kultury. Kiedy z Danusią opuszczaliśmy swoją celę i szliśmy do pralni, taka prostytutka z Lublina wychodziła przed pralnię i krzyczała: "Zamknijcie się w końcu. Idzie pani Karłowiczowa z Danusią, więc przestańcie wreszcie używać tego języka!". Ta prostytutka była bardziej ludzka, niż te wszystkie panie, które uważały się za damy. Dziwne, że taka prostytutka okazała mnie i Danusi tak wiele dobroci, opiekuńczości, życzliwości i delikatności. Pobietom nie pozwalała w naszej obecności niewłaściwie się wyrażać. prostytutki na Zamku były na specjalnych warunkach, wolno im było znacznie więcej niż komu innemu. Ta prostytutka potrafiła niejednokrotnie zwrócić uwagę nawet oddziałowej.

Oddziałowe na pozór gardziły więźniarkami politycznymi.

Ukradkiem jednak robiły wszystko co możliwe, aby otrzeć się o sąd wojskowy. Szczególnie widoczne było to w Grudziądzu, chociaż te tendencje zaznaczały się również na Zamku. Do złobka dobierały sobie same polityczne. Oczywiście przynajmniej jedna więźniarka musiała być spoza tego kręgu, aby donosić, co się dzieje. Gdziekolwiek były funkcje znośniejsze, gdzie można było jakoś urządzić się w więzieniu, wszędzie tam oddziałowe chciały mieć więźniarki polityczne. Im to trochę imponowało. Wśród więźniów politycznych wielu ludzi było wykształconych i kulturalnych. Dla tych prostaczek obcowanie z politycznymi więźniarkami, możliwość porozmawiania z nimi, stanowiło swego rodzaju awans.

Na Zamku bardzo króciutko była oddziałowa, która nas zdumiewała. Gdy wychodziłyśmy rano do mycia, widziałyśmy na jej stole leżący różaniec. Ta oddziałowa była zawsze spokojna, taka całkiem inna od pozostałych. Kiedyś powiedziała nam: "Wiecie co, mój narzeczony, gdy dowiedział się, że pracuję na Zamku, powiedział, że dłużej nie będę tu pracować. Płumaczył, że przecież tutaj są ludzie, których się gnębi. A ja nie mogę gnębić ludzi". Wkrótce odeszła. Dłużej nie mogła pracować i patrzeć na to wszystko.

Pamiętam moment, kiedy przywieźli harcerzy. Wśród nich były dwie siostry, jedna miała czternaście, a druga szesnaście lat. Oddziałowa o pseudonimie "Zielona" załamana się, widząc czterystoletnie dziecko z warkoczami do pasa, takie bezradne i przerażone. "Zielona" rzuciła klucze i zaczęła płakać. Trzeba przyznać, iż tę czternastoletnią dziewczynkę zwolnili. Jednak jej szesnastoletnia siostra odsiedziała trzy lata.

Kiedy syn miał półtora roku, mąż zabrał dziecko do domu.

Wkrótce po tym wywieziono mnie do Grudziądza. W Grudziądzu był cały oddział sądu wojskowego. W Grudziądzu pracowaliśmy. Początkowo pracowałam w konfekcji. To była bardzo ciężka praca. Na pół roku przed wyjściem przeniesiono mnie do pracy w żłobku. Ta praca była już o wiele lżejsza. Po pięciu latach zostałam zwolniona.

GENERALNY INSPEKTOR PRACI RP
DO SPRAW KRAJOWYCH

Warszawa, dn. 10. XI. 1934
ul. Krakowska 17

L.dz. 8894/V

Ob. *Województwo, powiat...*

zam. *...*

...

W odpowiedzi na podanie Obywatela z im. *...*
poważam, że poprzednie podanie Obywatela o stwierdzenie
rodziny z *...* zostało przesłane w dniu *...*
do Ambasady R.P. w Moskwie, w związku z podjęciem przez
Ambasadę R.P. w Moskwie starań o reparację w Republice Litwy i
Białoruskiej, Ukraińskiej tych Polaków, których najbliżej
dziś zamieszkuje w Kraju. -

GENERALNY INSPEKTOR PRACI
[Signature]

Zarząd Gminy Sterdyn
powiatu polskiego
z. 19. XI. 1934 / 8894

Sterdyn, dnia 30. XI. 1934r.

Zawieszenie.

Najwyższym Zarząd Gminy Sterdyn zawiadacza, że ob.
Janina Boguska, zamieszkała we wsi Lebedzka, gm. Sterdyn, jest
wywieszona normalnie, gdyż nie doznała nigdy choroby psychicznej
podległa opiecej lekarskiej nie działała na szkodę ludności państwa
polskiej.
Powyższe zaświadczenie wydano w/w na jej osobista prośbę,
celem przedłożenia odpowiednim władzom.

Wojt Gminy Sterdyn
1 Szajnocha
[Signature]